



Lwowska Narodowa Naukowa Biblioteka Ukrainy imienia W. Stefanyka

NAUKOWY DZIAŁ CZASOPISM IM. MARJANA I IWANNY KOCIW

Gi 760

REFORMATOR:

tygodnik poświęcony polityce, ekonomii, krytyce i literaturze

1903 nr 9

LWÓW



Li. 760
1903

Reformer
1903.

Reformatör

TYGODNIK POŚWIĘCONY POLITYCE, EKONOMII, KRYTYCE I LITERATURZE — WYCHODZI KAŻDEJ SOBOTY.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor: LEON DANILUK.

PRENUMERATA we Lwowie i na prowincyi w całej monarchii austro-węgierskiej wynosi z przesyłką pocztową: rocznie 8 K, półrocznie 4 K, kwartalnie 2 K, miesięcznie 70 hal. — Za granicą rocznie 10 franków. — Numer pojedynczy kosztuje 20 halerzy.

Redakcyja i Administracyja mieści się w własnym domu ul. Balonowa l. 4, we Lwowie.



PRENUMERATE miejscową przyjmują oprócz Administracyi: Biuro dzienników Sokolowskiego (w pasażu Hausmana), Biuro dzienników Buchstaba (ul. Karola Ludwika l. 21), trafik Siebaue-rowej (ul. Karola Ludwika l. 5), Biuro dzienników Olszewskiego (ul. Kilińskiego l. 1), gdzie też można zamawiać ogłoszenia po cenach umiarkowanych.

Stała rubryka aż do skutku.

**Oświadczamy, że do-
tąd nie przestaniemy wy-
dobywać na światło dzien-
ne zbrodniczych czynów
Ernesta Breitera, dopóki
to indywiduum nie oczy-
ści się przed sądami z wy-
kazanych mu publicznie
łotrstw.**

**Redakcyja
„Reformatora“.**

Brak powagi.

Jeżeli kiedy, to w ostatnich cza-
sach powaga parlamentu obniża się
nawet bardzo.

Od dłuższego czasu parlament
zajął stanowisko, jakby wahające się
z chwilą, kiedy padły pierwsze gro-
źby o rozwiązanie parlamentu, o za-
wieszeniu konstytucyi, to już i naj-
bardziej pochopni do obstrukcyi opu-
ścili w zajęczy sposób uszka po
sobie.

Dalecy jesteśmy od tego, aby
pochwalać niemądrą obstrukcyę, ale
zaznaczyć musimy, że pan Koerber
już z chwilą, kiedy przyznał, że par-
lament groźby rządu bierze na seryo,
poznał, że jest panem sytuacji i że
wszystko pójdzie gładko.

Tak więc i poszło, a już najgła-
dziej przy debacie wojskowej. Tam
to już spełniło się przysłowie, że
z wielkiej chmury mały deszcz. Spo-

dziewano się jowiszowych gromów,
a skończyło na żalach i żalikach sta-
rych, jak świat. Minister odpowie-
dział od niechcenia i skończył na
obietnicy; nie zapominajmy, że uznał
za stosowne nie reagować na zarzuty
przeciw Galgotzemu.

Na obietnicy się skończyło i osta-
tecznie rząd ma, co chciał, a cały
parlament nie uzyskał nic, nie uzy-
skał nawet takiego drobiazgu, by
ostatecznie zniesiono przy wojsku
żelaza i pal.

A już prawdziwie karnawałowe
oświadczenie *Fremdenblatt-u* w spra-
wie Galgotzego, to jakby różeczka,
bijąca niegrzeczne dziecko w pewne
niepewne miejsce. Obniża to powagę
parlamentu w sposób wprost niesły-
chany i chyba w parlamencie tym
nie znajdzie się nikt, ktoby nie zażą-
dał najdalej idącej satysfakcyi. Może
wojskowość wobec cywilnych stać
na swoim odrębnym stanowisku —
to jej rzecz, ale wobec parlamentu
rzecz inna. Parlament po koronie
zajmuje pierwsze miejsce i powagi
jego nie wolno obniżać nikomu.

Zobaczmy, kto pierwszy ujmie
się za powagą parlamentu.

A rozpisanie rekrutacyi przed
uchwaleniem rekruta — nie jest to
policzek, dany parlamentowi i jego
powadze?

A jednak zniósł on go. Smutny
zaiste stan!

Gospodarka gminna.

IV.

A trzeci rodzaj starszego wójta, to sławne nasze magistraty. Rozumie się, że nie mamy na myśli królewskich, wolnych miast, mówimy o tych magistratach w zwykłych miastach i miasteczkach. Dla nas zaszczytnem nie byłoby wcale, gdybyśmy chcieli obliczyć, ile to naszych miasteczek miało

komisarzy rządowych. Dla umniejszenia li-
czby raczejby nam liczyć te, które nie miały
komisarzy. A jest ich bardzo, bardzo mało.

Dziś to już nie robi na nas nawet wra-
żenia, z olimpijskim spokojem czytamy, że
tam i tam, skutkiem nieporządków zapro-
wadzono komisarza, wyznaczono mu dyety
i autonomia zbawiona. Na dowód biorę
pierwsze lepsze pismo w ręce i czytam:

»Trembowla. Wskutek interpelacyi posła
Stapińskiego i tow. przeprowadził Wydział
krajowy lustracyę gospodarki gminnej w Bu-
dzanowie. Lustracya wykazała nietylko nie-
porządki, ale ogólną rozterkę w administra-
cyi. Wobec powyższego stanu rzeczy nale-
żałoby reprezentacyę gminną natychmiast
rozwiązać. Na przeszkodzie temu stoją wy-
bory do rady powiatowej, które i tak nie
wiedzieć z czyjej winy o kilka lat się prze-
wlekły a jak wiadomo, wybory takie odbyć
się nie mogą, gdy w powiecie gmina któraś
ma komisarza rządowego. Nadmienić należy,
że już obecnie radni z inteligencyi zrezy-
gnowali ze swoich mandatów, czując, co
z gospodarki takiej wyniknąć musi«.

I tak samo było w Gródku, Stryju,
Tarnopolu i w tylu, tylu miasteczkach. A ile
to wykryło się i zatuszowało nadużyć, ile
wprost zbrodni z chęcią zysku płynących.

Samowola urzędników magistratów na-
szych jest znana i ludność nie drży tyle
przed burmistrzem i radą, ile przed panami
sekreterzami, inspektorami, policyantami itd.
Takie fakta, jak tortury w Jarosławiu, Sam-
borze, tacy panowie inspektorowie, jak Ei-
tner i wiecznej w Tarnopolu pamięci Skul-
ski, takie fakta, że w stolicy Podola poli-
cyanci rozbijali sklepy, w Stanisławowie
utrzymywali domy publiczne i stręczyli do
nierządu, gdzieindziej żydom-radnym wodę
nószą, w Borysławiu mordują ludzi, za co
świeżo zasądzono ich na ciężkie więzienie,
to u nas nic dziwnego przecież.

Za to wyjątkowo tylko gdzieś trafić się
może taki pan z magistratu, któryby nie
hołdował zasadzie, „jak się da, to się zro-
bi“ i nie patrzył na „kuku w ruku“.

Gdzie przyczyna złego? Wszak przy-
mowanie gminnych urzędników i sług, to
przywilej rady. Tak jest i ta to rada z za-
sady obsadza posady protegowanymi benja-
minkami o najgorszej przeszłości, na którą
w danym wypadku nikt nie patrzy. A znów
na inne posady, choćby i policyantów, coś
uczciwego się nie pcha, ba, i tutaj prote-
kcyja jest konieczną, a znamy setki wypa-
dków, że radni, nawet bardzo bogaci, każą
sobie za protekcyę taką płacić w pieniądzech
albo naturaliach.

Burmistrz albo bezradny, albo na je-
dnym jedzie wózku z swoimi benjaminka-
mi — zdaje sprawę na nich, sam zadowolą
się podpisaniem kawałków i reprezentacyą,

a już owi urzędnicy, nadymając się wielce, robią co sami chcą. W końcu prędej, czy później wychodzą świństwa na wierzch i musi się je tuszować z pokryciem lub bez pokrycia.

A poza magistratem, w łonie rady tworzą się kliki różnego gatunku i wielkie i małe, ale nie zawsze czyste. Coby dał na przykład taki Rzeszów, aby pozbyć się swego burmistrza-pośła i jego adlatusów Fechtdegena i Hochfelda. Dla przykładu przytaczamy to, co pisze o tym drugim potentacie Rzeszowa *Głos Rzeszowski*:

»Dr. Hochfeld serwilizmem i lokajskimi posługami starał się pozyskać zaufanie jednego i drugiego sprzymierzeńca. Skoro zaś tylko się wkraść w zaufanie burmistrza i czuł się dość silnym, czekał tylko sposobnej chwili, by po trupie starszego sprzymierzeńca utorować sobie drogę do największych wpływów. Po pierwszej udanej próbie w czasie obsadzenia magistratu w obecnym Zarządzie miejskim, kiedy to utracił starego dr. Fechtdegena, zapędy jego nie mają już granic, a związek z nim zaczyna być fatalnym, dla jego dotychczasowych sprzymierzeńców. Jak we wszystkim, tak i tu dr. Hochfeld gra *va banque* i silnym impetem zmiata z drogi każdego, kto zawadza jego dążeniom. To też najpierw wyrugował syndyka miejskiego i sam przywłaszczył sobie zastępstwo miasta we wszystkich prawie sprawach, ciągnie z tego zastępstwa niepomierne zyski. Ponieważ rubryka budżetowa na koszty prawne, aczkolwiek o wiele przewyższa w porównaniu do lat dawniejszych, nie wystarcza na pokrycie rachunków kancelaryjnych, któremi dr. Hochfeld sypie jak z rogu obfitości — przeto dla zamydlenia oczu, każe sobie asygnować honoraria z rubryk budżetowych, do których wcale nie należą, jak n. p. z funduszu gazowego, koszarowego i t. p. — Obecnie znowu dr. Hochfeld, doświadczony w sprawach wekslowych, stara się wszelkimi prostymi i nieprostymi drogami dostać się do dyrekcji Kasy oszczędności, w której gmachu za tanie pieniądze mieszka i układa już plany, jak opanować Kasę oszczędności po trupach swoich obecnych sprzymierzeńców, a z możliwie największymi dla siebie korzyściami materialnymi.

Znajomym oświadczają, że dopiero po osiągnięciu owych marzeń usunie się całkowicie z życia politycznego. Do marzeń owych należą: zostać dyrektorem Kasy oszczędności i syndykiem miasta z grubą pensją, zaprowadzić wodociągi, zarobić grubo przy kontrakcie i punktacjach, a w końcu osadzić swego przyjaciela domowego dra Tellera na stałej posadzie lekarza miejskiego«.

A musimy zaznaczyć, że *Głos Rzeszowski* pisze jeszcze bardzo ogólnie, bo mógłby pisać inaczej i jeszcze wszystko byłoby za słabe dla określenia zakusów kahalnomagistrackiej kliki. A co się dzieje w Rzeszowie, to się dzieje i w wielu miastach. Drohobycz ledwo, że pozbył się swego Atlasa, historia z Trembowlą ogólnie znana, Borysław sam prosi o komisarza i t. d.

Czy może być coś gorszego?

Wcale poważny środek zaleca Dr. Fr. Giedroyc w pracy swej „Prostytutki, jako źródło chorób wenerycznych“. Oto radzi on, aby każda z mieszanek lupanarza, a można to samo powiedzieć i o osobno meldowanych, na fotografii w książeczce miała wyciśniętą pieczęć i to czarną, jeżeli

wenerycznej słabości jeszcze nie przechodziła, albo jeżeli po jej przejściu minął już okres niebezpieczny, czyli, że źródło zarazy już wygasło u niej. Natomiast czerwona pieczęć oznaczałaby, że prostytutka po przejściu ciężkiej słabości znajduje się w okresie zarażania, i że niebezpieczną być może mimo tego, iż w odnośnej rubryce w książeczce ma wypisane „zdrowa“.

W takim wypadku od ostrożności mężczyzn zależałoby wiele, bo chyba zupełnie piany nie potrafiłby odróżnić koloru pieczęci lub fotografii od jej oryginału. Aczkolwiek również to tylko półśrodek, to jednak w każdym razie byłby on pomocny. Zarzuci kto, że wówczas czerwono pieczętowane zasilałyby tajną rozpustę, na co odpowiemy, że przy zwiększonym dozorze policyjnym i ogólnym zwalczaniu prostytucji tajnej, byłoby to bardzo utrudnione. Jako poważny środek doradzono oddawanie domów nierządu pod odpowiedzialność utrzymującego. Niestety, i ten środek nie doprowadza do niczego. Jeżeli bowiem „rajfur“, czy jak tam zwąć te indywidua ostatnich mętów, byłby obowiązany utrzymywać wyłącznie zdrowe prostytutki, to z drugiej strony żądałby zapewnienia, że tylko zupełnie zdrowi mężczyźni odwiedzają jego dom — bo nie tylko kobieta mężczyznę, ale i on kobietę zarażać może.

Należałoby więc od każdego mężczyzny domagać się świadectwa zdrowia najświeższej daty, lub poddaniu się oględzinom lekarza na miejscu, a w takim wypadku mężczyźni zdrowi i słabi szukaliby raczej kapłanek tajnej rozpusty, byle tylko nie narażać na przykrą ewentualność oględzin.

A zresztą jakiem okiem patrzylibyśmy na lekarza, spełniającego w takim miejscu swą, aczkolwiek szczytną, to bezmiernie przykrą powinność. Osiągnąć tego nie da się nigdy i nigdzie. Zresztą mało znalazłoby się takich, którzy dotknięci w lupanarzu słabością pociągnęliby rajfura do odpowiedzialności; wypadałoby stanąć wobec sądu i przyznać się do nieszczęścia, a na to nie każdy znajdzie odwagę. Sąd z drugiej strony nie może w każdym wypadku zbadać, czy zarażająca była świadomą tego, że jest słabą, bo często — osobiście w pierwszych początkach słabości — dotknięta sama nie wie, że jest już źródłem zarazy a nawet, że jest chorą.

I ten więc środek nie doprowadza do niczego. A również nie o wiele lepszym byłby drugi, doradzany środek, ażeby państwo zakładało domy nierządu pod własnym zarządem. Tutaj nie liczyłbym się wcale z zarzutem, że to nie przystoi dla państwa bawić się w podobne rzeczy, że *pecunia* z podobnego zysku *olet* i t. d. O zysku w tym wypadku nie ma mowy. Nie dla względów finansowych państwo musiałoby wglądać w tę sprawę i ująć ją w ręce, ale ze względów tysiąckroć poważniejszych, do których jest ono obowiązane, albowiem dla państwa: *salus populi suprema lex esto*.

Ale niestety i ten środek nie wiele by pomógł, jak to łatwo przewidzieć. Jeżeli bowiem mężczyźni uciekaliby przed domami rozpusty, zostającymi pod odpowiedzial-

nością utrzymującego — to uciekaliby o wiele więcej od publicznych domów nierządu, bo tutaj kontrola byłaby ściślejsza i dzikiej, zwykle pianej, wolności i swawoli mniej możnaby popuszczać cugle.

Ustawodawstwo jednak mogłoby przyjąć projektowi temu w pomoc, karząc dotkliwie tajną prostytucję w całym jej znaczeniu a już bezwzględnie recydywistki, nakładając kary na mężczyzn, którzy z świadomością zarażają, a oddając pod dozór schronisk kobiety, które w usługach prostytucji padły ofiarą zarazy.

To ostatnie u nas wprost niemożliwe, a bez tego każdy i najlepszy środek musi zostać w sferze projektów.

Głodni żądają pracy!

Kilkakrotnie pisaliśmy już o coraz większym przyroście inteligentnego i pół-inteligentnego proletariatu. Złe przybiera coraz większe, wprost zastraszające rozmiary, popyt za pracą wzrasta, a pracy nie ma.

Po urzędach na drzewiach od korytarza przybija się napisy, że podań o dyurna nie przyjmuje się. Jest to wprowadzić troszkę delikatniejsze od stereotypowego: „zebrakom handełsom i psom wstęp wzbroniony“, ale ostatecznie do tego samego prowadzi celu.

Tymczasem po urzędach dyurnują zasobni emeryci — wielu z nich wysokiej rangi, więc o pięknej płacy, ludzie, którzy mają chyba z czego żyć i łakomić się na kilkadziesiąt koron nie potrzebują. Zwykle taki staruszek nie wiele tam robi, bo zwykł z dawnych czasów smażyć koncept po od czytaniu gazetki i po dłuższej lub krótkiej pogadance politycznej. Zresztą i siły już do tego.

Jeżeli narzekamy na to, że zasłużeni nasi radcowie nie idą na pensje i wprost pozbawiają drugich chleba, to nie mniej musimy narzekać na to obdzielanie pocztowych staruszków dyurnami i to wtedy, kiedy tylu młodych i głodnych szuka pracy i chleba.

Emeryci winni dbać o zdrowie i dobry wygląd, wolno im karmić łabędzie w stryjskim parku, zresztą oni to winni ukształcać serduszka wnucząt i prawnucząt — uczyć ich pisać wedle dawnych „vorszryftów“ rozróżniać rangi i prawić o wyższości czapki z baczkiem od zwykłego szluposzlaka.

Urzędnicy nasi przyzwyczajeni są do dobrego bytu. W czasie służby ponoszą mniej ofiar od innych, bo do wielu towarzystw nie należą, powołując się na swój charakter służbowy, a wielu świadczeń z tych samych względów nie żąda się od nich wcale. Po przejściu na emeryturę, kiedy to wyjdą poza obręb chińskiego muru, zwanego czynną służbą, zwykle cofają się w wygodny kącik, bo człek już swoje odbył i stary — a sił chyba starczy dla dyurnowania, bo to z przyzwyczajenia, a człek po tylu latach nie może się odzwyczaić od pracy. Gdy jednak praca ta jest połączona z ukrzywdzeniem drugich — to zapisać ją należy mniej złotemi głoskami, a władze powinny stanowczo zakazać, aby ten, kto pobiera płacę rządową, nie mógł korzystać z dyurnum.

Miasto Sambor, w poczuciu swej godności i w zrozumieniu własnego interesu, powinno energicznie poprzeć myśl naszą; jest ono bowiem prawdziwie miastem emerytów i co do lojalności pierwsze zajmuje w Galicyi miejsce.

Tak samo i prywatne przedsiębiorstwa winne pamiętać prócz własnej korzyści także o sprawie publicznej; nadmiar bowiem inteligentnego proletaryatu należy do najgorszych plag społeczeństwa i musi się odbić na wszystkich drogach życia społecznego.

Sprawa to na pozór nie znaczna, a jednak bardzo i to bardzo ważna, a w tem leży rzecz cała, że spraw takich, niby drobnych, mamy więcej i pokrywa się je milczeniem. W tym wypadku rozchodzi się o rzecz na pozór tylko błahą ot tak o *kilkaset* posad, zajętych przez tych, którzy mają chleb i mięso i stać ich na lampkę wina, oraz chodzi o *kilkaset* głodnych i żądnych pracy, młodych ludzi. Więc warta poświęcić tej sprawie słów kilka, o czem jeszcze zabierzemy głos.

W obronie bytu polskiej opery.

I.

Pod takim tytułem pojawiła się przed kilku dniami broszura, poświęcona komisji artystycznej, a napisana przez p. *Adama Ludwiga*, znanego śpiewaka operowego.

Na wstępie tej broszury autor zastrzega się, że nie szuka sensacji i nie kieruje się uprzedzeniem, ani ubocznymi wpływami lub względami, a zabiera głos w interesie proletaryuszy operowych, którzy stanowią podstawę bytu operowego. Do napisania tej broszury również skłoniły go głosy prasy i opinia kilku ludzi miarodajnych w sferach teatralnych, wedle których upadek dyr. Pawlikowskiego i jego straty finansowe pozostają w ścisłym związku z operą, że w szczególności wielki koszt utrzymania takiej śpiewackiej armii wpłynęły szkodliwie na instytucję i doprowadzają ją i jej kierownika do ruiny. Spotykamy się więc ze zdaniem, że nie trzeba nam opery polskiej, skoro tak wiele kosztuje i gdy nawet taki dyrektor jak p. Pawlikowski nie może powiązać końców. Są i tacy, którzy mówią, że dramat pracować musi na operę, t. j. że uzyskana nadwyżka z przedstawień dramatu, pokrywa deficyt operowy.

Natomiast p. *Ludwig* stara się udowodnić, że rzecz cała ma się przeciwnie, a do ruiny p. Pawlikowskiego sprowadził tylko dramat. Dlatego też zacytujemy kilka ciekawych ustępów z wspomnianej broszury, dodając nasze uwagi. I tak pisze p. *Ludwig*:

„Wy patrzycie się na gwiazdy śpiewające — po mieście krążą najrozmaitsze pogłoski o honoraryach za występy, — pogłoski te rosną i honoraria rosną, a wiele to nawet tych gwiazd — jak je nazywacie — umyślnie proszą dyrekcję, aby im wystawiła zmyślane kontrakty i w kancelarii teatralnej fałszują cyfry, aby gwiazda nie straciła swego blasku i uroku. A wiecie Wy dlaczego tak jest? *bo Wy nas nie po siłach, ale po honoraryach sądzą!* Nie przeczę, gwiazdy być muszą i gwiazdy będą, ale bez proletaryuszy operowych nie będzie gwiazd i nie będzie opery. W tem rozwiązanie zagadki — dlaczego dyr. Pawlikowski tracił. Jeśli chciał stworzyć polską operę, — powinien był zacząć od proletaryuszy, — powinien był stworzyć taką silną i zorganizowaną armię młodych, początkujących ludzi, którzy przynosili z sobą i zapał i życie, a gwiazdami nie byli. A co zrobił p. Pawlikowski? Odrzucał od gwiazd, a o proletaryuszy nie dbał wcale, i to jest początek jego strat, kłopotów finansowych i tej drogi, po której stacza się do upadku!

Nie dość myśleć o tem, że publiczność pociągają nazwiska znane w Europie, a nawet na obu półkulach; takie gwiazdy znajdują się zawsze i w każdej chwili, gdy prze-

ciwnie proletaryuszy może braknąć, a wtedy przychodzi kryzys. Rozpatrzmy się w tem, jak rozpoczął dyr. Pawlikowski swoją pracę około stworzenia opery polskiej i w jakich warunkach. Pod jednym względem nikt przed trzema laty nie posadzał p. P. o nie-szczerość, owszem żywiłmy głęboką wiarę w jego entuzjazm, poświęcenie dla sztuki, a nimb jego sławy — otaczał mu skronie, z których światło biło daleko — daleko poza granice Galicyi. Twórca polskiej opery! — oto hasło, które obiegło wszystkie młode serca; każdy jak mógł — czy to z małej sceny włoskiej, gdzie zaprawiał się do przyszłego zawodu, czy dopiero po studiach za granicą. — spieszyliśmy do Lwowa, aby zaciągnąć się w armię tego nowego messyasza sztuki polskiej i aby tu na własnej ziemi i swoim oddawać swą pracę. W domu znaleźli się także młodzi adepci i jak się pokazało później — były to siły niepospolite i naprawdę utalentowane. Jakież było nasze rozczarowanie zaraz w pierwszych miesiącach, kiedy prócz „*Janka*“, którą to operę wyreżyserował sam dyrektor i „*Halki*“, którą reżyserował p. *Solski*, — pozostaliśmy bez opieki, a były miesiące, że całkiem bez pasterza! Dyrektor sam nie myślał więcej o operze, a reżysera nam nie dał — i nie mieliśmy go przez dwa lata! — P. *Pawl.* reżyserował jeszcze „*Manru*“ i „*Urwasi*“, p. *Solski* „*Wołodyjowskiego*“ i basta.

Ktokolwiek choć troszkę zna się na sztuce, — a o sztuce kształcenia się chyba każdy przeciętny inteligentnik myślał w życiu, ten wie, że odrazu nie sposób osiąść wszystkich rozumów i Krakowa także odrazu nie zbudowano. Twórca polskiej opery — zdaje się — powinien był także o tem wiedzieć, tembardziej, że nie w innym charakterze nas angażowano do teatru miejskiego i wysokość naszych gaź świadczyła najlepiej, — że gwiazdami nie byliśmy, a jeno tą armią zaciężną, przed którą uśmiechała się daleka dopiero przyszłość. Tymczasem twórca tego nie wiedział, czy nie chciał wiedzieć, czy nie mógł wiedzieć, zresztą — gdyby nie faktyczna dla nas strata i dla wielu może zagrzebanie przyszłości, — obojętna by mi była osoba twórcy. Młodzi śpiewacy o własnych siłach musieli iść naprzód, to cofać się; śpiewaliśmy — co nam dano, by tylko móżdż śpiewać, a nikt się o to nie troszczył, czy ta lub owa partya odpowiadała głosowi i usposobieniu początkującego śpiewaka. — Jeżeli z tego chaosu wyszliśmy cało, — to z pewnością nie jest zasługą dyrektora teatru — ale naszej wytrzymalności, zdrowia i szkoły. — Bez tych warunków każdy początkujący zaraz na progu wielkiej Świątyni musiał ginąć i cieplą posoką znaczyć ślady niespełnionych, a tak może gorąco ukochanych pragnień...

„Łatający Holender“ w ratuszu!

(Opera Nie-Wagnerowska).

Od tygodnia wre w lwowskim Magistracie, jak w kotle!

Rada miejska, powołana do uchwalania wszystkiego bez wyjątku co się odnosi do spraw miejskich, dopytuje się niecierpliwie co za dzieło wiekopomnej wartości drukuje *komisyja lustracyjna*, wybrana przed dwoma laty dla rozpatrzenia toku i sposobu urzędowania w Magistracie, gremium urzędników miejskich wnoszący pełen oburzenia memoriał na ręce Prezydenta, nauczycielstwo wzywa jego pomocy przeciw obelżywu ich traktowaniu w referacie, wygotowanym i oddanym do druku przez tę ko-

misję, a Prezydent rozkłada tylko ręce z zakłopotaniem, bo chociaż jako widoma głowa zarządu miejskiego w pierwszym rzędzie posiada niezaprzeczone prawo aprobowania wszystkiego, co wychodzi z łona Magistratu i Rady miejskiej, dowiaduje się dopiero ubocznie o tem, co komisya lustracyjna knuje poza jego plecami.

Dzienniki chwytają w powietrzu co im wpadnie do ucha i gubią się w powodzi przeróżnych pogłosek, nawet obojętna zazwyczaj na domowe sprawy Magistratu publiczność zaczyna się interesować i ciekawie wyczekuje wyjaśnienia powodów tej wojny domowej.

I o co właściwie chodzi?

Oto komisya lustracyjna, która przez pełne dwa lata przebiegała z siłą elementarną po kilkakroć wszystkie biura Magistratu, badała wszystko co jej się nawinęło pod rękę, spisywała olbrzymie stosy notatek, nie oglądając się czy to, co zapisywali, ma jaką styczność z powierzonym im zadaniem, lub nie, która niepokoiła cały Magistrat i sporo drogiego czasu zabierała urzędnikom miejskim, nużąc i mordując ich bezprzedmiotowieniami pytaniami i co raz to nowem żądaniem wielokrotnie już przedtem wygotowywanych zestawień i wykazów... że *ten łatający Holender*, jak ją dowcipnie i zupełnie słusznie ochrzczili trapieni urzędnicy... drukuje swoje sprawozdanie.

Co więcej?

Że drukuje kilkudziesięcio arkuszowe sprawozdanie w głębokiej tajemnicy przed Prezydum Magistratu, w sekrecie przed Radą miejską, od której otrzymała mandat, że referenci komisji pp. Dr. Dziwiński i Dr. Lisiewicz nie przypuścili do sekretu nawet reszty członków komisji lustracyjnej, chcąc widocznie sprawić wszystkim arcymiały niespodziankę i wywołać tem większy podziw dla swej pracy.

Skąd jednak ta wrzawa i dlaczego wszystko, co tylko ma styczność z Magistratem, zawrzało takim oburzeniem na to sprawozdanie?

Ponieważ nie ma na świecie nic tak skrytego, co by się przecież nie wydostało na światło dzienne, więc i pewne szczegóły z tego sprawozdania doszły do wiadomości interesowanych, a że szczegóły te mają ubliżać w wysokim stopniu Radzie miejskiej, urzędnikom Magistratu, nauczycielstwu miejskiemu a nawet samemu Prezydum, zażądali interesowani od Prezydenta miasta, żeby wdał się w tę sprawę.

W tym celu upoważniła Rada miejska na poufnym posiedzeniu dnia 19. lutego 1903 Prezydenta miasta, żeby podjął z drukarni co już wytłoczone z tego sprawozdania i rozpatrzywszy się w nagromadzonym tam materiale zarządził co uzna w tej mierze za stosowne dla zapobieżenia skandalowi.

W sposób więc zupełnie prawidłowy i prawny dostało się sprawozdanie komisji lustracyjnej do rąk Prezydenta a w następstwie do wiadomości radnych, urzędników i nauczycieli.

I przekonano się, że samo założenie sprawozdania i dziwny system, obrany przez referentów do wywiązania się z poruczonej im misji, mogło i musiało poruszyć umysły, przykro tem, a zupełnie bez wszelkiej potrzeby dotkniętych urzędników i nauczycieli miejskich, wzburzyło koła radnych niewłaściwie tam w grę wciągniętych i wywołało zupełnie usprawiedliwiony protest przeciw wdzieraniu się w prywatne ich stosunki finansowe.

W sprawozdaniu swem, o ile mogliśmy stwierdzić, mniej się zajmują panowie referenci sprawami, które właściwie miały stanowić przedmiot ich badań, a całą dążność wysilili w kierunku, niemającym żadnej styczności z właściwymi zadaniami ich czyn-

ności i wywłóczą w rozwlekły sposób na widok publiczny takie rzeczy jak:

- a) ile który z urzędników pobiera płacy,
- b) ile ma zaliczki miejskiej,
- c) jakie kondykta ciężą na jego płacy,
- d) jakie otrzymał remuneracje za nadobowiązkowe czynności,
- e) ile otrzymał tytułem doraźnej zapomogi z funduszu uchwalonego na ten cel,
- f) ile i kiedy miał jakie dochodzenia dyscyplinarne i z jakim wynikiem...

i tak dalej i tak dalej...

Co do radnych bawią się panowie referenci w zestawienia wykazów zaległości podatkowych każdego z nich poszczególne, nie reflektując, że stan tych zaległości zmienia się co kilka miesięcy w miarę uiszczonych spłat i narastających świeżo należności.

Do jakich celów mają właściwie służyć te cyfrowe wykazy trudno zrozumieć, a sami panowie referenci nie musieli sobie dokładnie zdawać sprawy, łamiąc głowę nad tym suchem, a niewdzięcznym wypracowaniem.

Ale nasuwa się uzasadnione pytanie, skąd pp. Dr. Dziwiński i Dr. Lisiewicz przywłaszczają sobie prawo wglądać w czysto prywatne stosunki urzędnika, z jakiego tytułu považają się wywlekać przed *forum* publiczne obraz jego niedostatku, a może i skrajnej biedy i wystawiać go na kompromitację, a w następstwie spowodować może zupełną ruinę takich, którzy ratując się do czasu kredytem muszą stracić ten kredyt po takiej arcyministernej publikacji.

Przedewszystkiem asygnowanie trzechmiesięcznych zaliczek na płace urzędników jest wyłączną atrybucją Prezydenta miasta, wypływającą ze statutu i w tej mierze nie tylko szanowna komisya, ale nawet pełna Rada miejska nie ma prawa ingerencji. Remuneracje przechodzą uchwały odnośnych sekcji i Rady miejskiej, a krytykować tych uchwał nie miała komisya najmniejszego prawa.

Zasilanie urzędników zapomogami w razie nadzwyczajnych wypadków należy wyłącznie do dyskrecyjnalnej władzy Prezydenta, któremu Rada miejska uchwała coroczny ryczałt na ten cel w słusznym zaufaniu i w tem przekonaniu, że jako najbliższymi stykający się z urzędnikami zna lepiej od innych położenie każdego z nich i w miarę zasług i potrzeby sprawiedliwie rozdział tych zapomóg zarządzi.

Zapytujemy panów referentów komisji lustracyjnej, czy Rada miejska, powierzając im zbadanie stosunków *urzędowych Magistratu*, miała na celu obarczyć ich nieplodnym w wyniki i nieprowadzącym do celu wnikaniem w prywatne stosunki urzędników?... Chyba że nie!

Rada miejska chciała się zapoznać w szczegółach z prowadzeniem agend w urzędach miejskich, żądała przedstawienia sobie wadliwych dotychczas i przestarzałych sposobów manipulacji w poszczególnych działach, oczekiwała od komisji lustracyjnej wniosków, któreby wskazały sposób usunięcia tego, co jest złem a wprowadzenia praktycznych zmian i t. p.

Poza te ramy nie sięgał mandat *latającego Holendra*.

Tymczasem zamiast aktualnych wywodów w wytkniętym komisji kierunku, popisują się panowie referenci wyciągami z miejskich ksiąg kasowych, co pierwszy lepszy urzędnik buchalterii mógł być zestawić w kilku tygodniach bez rozgłosnej wrzawy i bez tego napuszystego namaszczenia, jakim się otaczają pp. Dr. Dziwiński i Dr. Lisiewicz.

Nie znamy sprawozdania w całości, więc nie wdajemy się w ogólną krytykę wypracowania komisji lustracyjnej, zauważyć jednak musimy, że komisya ta w obecnym jej składzie straciła właściwie prawo

istnienia, raz wskutek uzupełniających wyborów, przez które skład Reprezentacji miejskiej zmienił się o połowę, powtórę z powodu jej zdekompletowania przez ubytek dwóch członków zmarłych w międzyczasie, t. j. ś. p. Edwarda Marynowskiego i ś. p. Wincentego Kuźniewicza.

Najwłaściwszym było dla komisji złożenie z powyższych powodów powierzonego mandatu, ale gdy już *iure caduco* pragnie utrzymać się w permanencji, niechby sprawę traktowała przedmiotowo i w wytkniętym jej przez Radę kierunku.

Z tego cośmy uszczknęli o referacie komisji, nasuwa nam się uzasadnione przypuszczenie, że komisya lustracyjna pogubiwszy się sama w powodzi zapisków i notatek, zbieranych beładnie, bez jakiegokolwiek planu, ot tak sobie na dorywkę, gorączkując się nie do samego przedmiotu, a raczej do głośnego, choć pustego rozgłosu, że *tak zawzięcie pracuje*, nie widziała sposobu wyjścia z stworzonego przez siebie chaosu i ażeby *aliquid fecisse videatur* ratuje się szablonowym zestawieniem dat, które nie mają najmniejszego związku z rzeczywistymi zadaniami jej przeznaczenia, że dla rozszerzenia ram tego sprawozdania i nadania mu tylko objętością pozoru większego znaczenia, przedrukowuje wszystkie istniejące a już drukowane osobno regulamina, instrukcje, postanowienia i t. p. i tą pstrókaczną wypełnia olbrzymi folią, zredagowany w stylu czysto *Monitorowskim*, przepełniony inwektywami w odniesieniu się do całego zastępu urzędników, nauczycieli miejskich, członków Rady, a już co najciekawsze... do samego Prezydium Magistratu.

Rada miejska poczęła sobie z całą godnością, że stając na straży powagi urzędów miejskich a więc i powagi urzędników, broniąc od ubliżających napaści *decorum* Reprezentacji stolicy kraju, osłaniając osoby Prezydentów, którzy cieszą się jej zupełnym zaufaniem, wstrzymała dalszy druk tego *pamfletu*.

Jesteśmy przekonani, że arcydzieło twórczości *latającego Holendra*, przynajmniej w części, ubliżającej tak władzom Magistratu, jak niemniej poniżającej godność urzędników miejskich — spocznie tam, gdzie jego *zasłużone i należne miejsce... w koszu*.

A więc *caveant consules!*

Herszt opryszków.

(Sylwetki z tajników Ernesta Breitera.)

Dzielimy się z naszymi czytelnikami wiadomością, że c. k. Prokuratora państwa z urzędu, na podstawie naszych artykułów, wdrożyła śledztwo przeciw hersztowi opryszków a „posłowi“ V kuryi okręgu lwowskiego i „redaktorowi“ „Monitora“ Ernestowi Breiterowi:

1) o zbrodni wymuszenia za pomocą pogroźek, że w razie pisania o jego osobie i rzekomo o rodzinie jego, roztrzaska rewolwerem łeb naszemu redaktorowi p. Leonowi Danilukowi i p. Sewerynowi Beylemu, zarządcy Drukarni Ludowej.

2) o zbrodni oszustwa, popełnionego przez przekupienie i namówienie do fałszywych zeznań świadka

Józefa Riedla w znanym procesie jego z Dr. Emanuelem Rońskim.

Następnie zaznaczyć musimy, że c. k. Prokuratora państwa równocześnie wdrożyła śledztwo i przeciw Józefowi Riedlowi, dostawcy szutru, zamieszkałemu w Chryplinie pod Stanisławowem, o zbrodni krzywoprysięstwa, popełnionej w procesie Dr. Emanuela Rońskiego na korzyść Ernesta Breitera.

Ze względu na toczące się śledztwo, które enegicznie prowadzi sędzia c. k. Sądu kraj. karnego p. Roman Włodek, nie możemy podawać bliższych szczegółów. Dopiero w czasie rozprawy, która niejedno jeszcze łotrństwo „pana posła“ wydobędzie na światło dzienne, podamy wyniki do publicznej wiadomości, wedle stenograficznych zapisków.

Z teatru.

„Luminarz“.

(Satyra w 4. aktach przez Stanisława Kozłowskiego.)

Luminarz, to postać dość często w społeczeństwie naszym się ukazująca, rodzaj człowieka-pasożyta, pozornie uczynnego i pracowitego, ogromnie zajmującego się sprawami i dobrem ogółu, mówiącego dużo o swoich rzekomych zasługach i chętnie słuchającego niezadowolonych pochwał — w gruncie zaś wielkie — pozujące tylko na coś — nic, szumny napis nędznego dzieła.

Takim jest w satyrze Kozłowskiego Seweryn Bogusz, prezes banku, członek wielu instytucji, znany jako filantrop — słowem „Człowiek Opatrzności“. Pan ten — mając powyżej wyliczone zalety w pracy, wyręcza się innymi, rzucając im na barki olbrzymie ciężary, by samemu zbierać plony. W domu gra rolę patriarchy, co mu jednak nie przeszkadza odwiedzać dobrej, głupiej, a przytem grubo kosztownej kokoty-Mimi, z którą go łączy dyskretny stosunek.

Przypatrzmy się teraz bliżej treści satyry. Akcja rozpoczyna się w chwili uroczystości jubileuszowej Bogusza. Zewsząd płyną powinszowania, adresy, prezenta, ku niewymownej radości jubilata. Niemile jednak — ale — mać spokój uroczystości. W banku którego p. Bogusz jest prezesem, odkryto sprzeniewierzenie, spowodowane brakiem kontroli ksiąg i złem prowadzeniem całej instytucji. Jubilat nie wiele sobie z tego robi, dla zachowania powagi zwołuje zgromadzenie, na którym sprawa zostaje pobieżnie załatwiona. To jeden dysonans — drugi gorszy. Zły duch Bogusza — Stefan Zmorski, młody, energiczny, prawy, ale gorączka postanawia otworzyć oczy jego zięciowi i zaprowadza go do Mimi, by sam się przekonał o patryarchalnej czystości swego teścia. Z tego wywiązuje się katastrofa. Pokorny, duszą i ciałem oddany teściowi Zenon, po całych nocach ślęczący nad księgami bankowymi — buntuje się i ostro wyrzuca mu jego obłudę. Bogusz, by ratować sytuację zrywa z Mimi, co pogarsza jeszcze sprawę, bo rozgniewana ko-

kota odsyła listy jego — powodując zupełne zdemaskowanie luminarza. Na dobiek upada jego kandydatura — a Zenon zostaje obrany dyrektorem banku, głównie za przyczynieniem się Zmorskiego.

Taka mniej więcej treść satyry.

Obok Bogusza — zestawiał autor świetną kolekcję typów. Widzimy tam dyrektora banku, wzdychającego do pięknej urzędniczki, radców gnących się w kabłąk przed powagą prezesa, pokornych urzędników, w milczeniu znoszących szyskany przełożonych i znakomitą postać kokoty, rozdającej pieniądze kochanka na filantropijne cele.

Sztuka sama, pomimo interesującego tematu przedstawia się blado. Sytuacje zwłaszcza w dwóch ostatnich aktach przypominają głupie, niemieckie farsy — i naciągnięte są do niemożliwości. Akcja wlece się zbyt powoli i nuży — słowem nie udało się Kozłowskiemu złożyć całości — dał tylko dobre typy — więcej nic. A co najważniejsze brak sztuce tej jednolitości, zdaje się, że autor chciał co innego napisać a co innego napisał. Wspomnę jeszcze, że ten sam temat obrobił mistrzowski Ibzen w „Podporach społeczeństwa“.

Artyści grali dobrze. P. Feldman stworzył wyborczy typ luminarza — dzielnie asystowali mu pp. Roman, Węgrzyn, Kwiatkiewicz, Wysocki i Nowacki. Pani Rotterowa była uroczą, pełną werwy — grzesznicą. Rasiński za mało wlał energii w swoją rolę. Reszta tworzyła zgodny zespół.

Publiczności zebrało się jak na premierę niewiele.

S. J.

Z filharmonii.

Józef Hofman.

Ledwie przebrzmiały echa i zachwyt wprost niedo opisanego po mistrzowskiej grze skrzypka Kubelika, a tu znowu inny mistrz tonów staje przed lwowską publicznością. Jest nim Józef Hofman, krakowianin. Już przed występem jego w Filharmonii rozprawiano i mówiono wiele w szerszych kołach naszego miasta, a publiczność chcąc usłyszeć tego młodego pianistę po brzegi zappełniła amfiteatr. Gra jego była znakomitą. Wprost czarodziejskie tony rozchodziły się z pod umiejętnej i mistrzowskiej ręki naszego pianisty, niby śpiew czy chór nadniebiański dawał się słyszeć publiczności. Ta jego technika wielka, to wprost przepiękne i zachwycające łączenie tonów, to uderzenie w klawisz, godne mistrza wielkiego, olbrzymie zrobiło wrażenie. I nasuwa się tylko myśl, czy go, choć tak młodego pianistę, nie postawić w rzędzie obok Paderewskiego.

A choć ta myśl u niejednego powstała zapewne po koncercie, to inni, czy uprzedzeni, czy zakochani tylko w jednym Paderewskim, czy w innym z pewną rezerwą i z jakąś dziwną obojętnością przyjęli grę naszego pianisty. I nic nie wypada, jak może pójść na drugi koncert, by przekonać się napewno, o nowej naszej gwiazdzie w świecie muzycznym. Z utworów odegrał Hofman, Rubinsteina: Koncert D-mol, Chopina: Nokturn C-mol, Walc Asdur, Czajkowskiego: Marzenie wieczorne.

Z. Obt.



Dział literacki.

Klemens Podwysocki.

Z LAT MŁODYCH.

Żywo mi się przypomina
Ten rusatek cudny kraj —
Rzewna, śpiewna Ukraina!...
Lutni moja, o niej graj!

Szmaragdowy step, usiany
Mogilami... Myśl mknij wstecz...
Tędy — powiesz — szły tytany!
Te mogiły siał ich miecz!

Lud nie zegnał dumy z czoła.
Choć zamienił miecz na cep!...
Postać — bujna, pieśń wesola
W zadumany płynie step...

Jstne plemię to sokole —
Ten stepowy, dzielny lud!
Dziewki — rosły jak topole,
Oczy — płomień, usta — miód!

Młodyce — gospodarne,
Chata — biała, w chacie — ład;
Nic nie pójdzie tu na marne:
Działwa syła i kmięć rad!

A gościnność w Ukrainie!
Gościa przyjąć chłodno — srom!
I przystawie tam nie ginie:
„Z gościem spotem i Bóg w dom!“

A panienki?... Choć pochwałę...
Liczo — istic z mlekiem krew!
A usteczka — jak korale!
A głos — to... słowiczny śpiew!

Zabki — perły! Oczy!... oczy!...
Nie patrz, bracie, długo w nie!...
Serce z piersi ci wyskoczy
Z pieśnią: „Dziewczę, kochaj mnie!“

Tak to mi się przypomina
Ten rusatek cudny kraj —
Rzewna, śpiewna Ukraina
I w oczętach dziewcząt — raj!...



Stanisław Justian.

SZKICE!

I.

Wśród zacisznej, lesistej okolicy wznosi się skromny zameczek największego z mocarzy świata — szczęścia. Przybytek tego bóstwa na pozór wygląda jak schronienie zwykłego śmiertelnika. Wokoło ciągną się odwieczne lasy — bliżej zamku cudowne łąki, barwnym kwieciami pokryte — a zamek sam stoi w otoczeniu drzew stuletnich cichą melodyj szemrzących za wiatru powiewem.

Tu dąży stutysięczne tłumy — a każdy z sercem drżącym, pełnym niepokoju, troski i oczekiwania.

Nie wszyscy jednak dochodzą.

Droga daleka, przeszkód tysiące — miliardy też giną w pochodzie, a reszta idzie dalej, nie bacząc na trupy.

Wielu z nich idzie złą drogą — błędzi manowcami, na których czycha śmierć i gorzsze od śmierci wątplenie.

Wielu uszedłszy spory kawał drogi nie ma odwagi i chęci iść dalej.

Wielu wreszcie szuka zamku gdzieindziej.

Ci przechodzą nieraz obok niego — nie rzuciwszy nań nawet okiem.

Taka nędzna chałupina miałyby być siedliskiem potężnego władcy?

Roją im się olbrzymie pałace tysiącem kopuł strzelające w niebo — lśniące złotem i marmurami.

Idą obłądnym wzrokiem zapatrzeni w przestrzeń — bardziej do upiorów niż do ludzi podobni.

Inni znów fałszywego boga sobie obrawszy — złudną marą kuszeni — giną na bezdrożach.

A tam w białej, cichej komnacie siedzi słoneczne widmo i czeka.

Obok niego wybrani.

Nad ich głowami chylą kwiaty barwne swoje kielichy i skryte wśród gałązek ptaki cudne wywodzą pienia.

Są między nimi dzieci — niewiasty — mężczyźni w sile wieku i starcy — tych najwięcej.

A wszędzie jasno, to kraina słońc.

Czasem skrzypną podwoje i szczęśliwy wędrowiec staje u progu. Wówczas powstaje władca i podawszy mu dłonie — wiedzie do grona obecnych.

Coraz bardziej jednak zasępią się jego oblicze — nawet szczęście smucić się poczyna, bo coraz rzadziej gości wita.

W dali — na świecie wściekle kłębi się życie i setki napróżno wyciągają dłonie do nieuchwytnych mary.

Biedni — a może niegodni.

II.

Stało się — szepnął Jochus bezsilnie padając na krzesło — lecz stać się musiało

Przed nim na śnieżnej pościeli leżała Marya — nieżywa, z twarzą obrzękłą, konwulsyjnie wykrzywioną, z oczami rozpaczliwie rozwartymi. W skurczonych palcach trzymała jeszcze pukle jego jasnych włosów, wydarte w rozpaczliwej walce.

Musił ją zabić — krew w nim wściekle zagrała — opanować się nie mógł.

Zwolna opuszczało go rozdrażnienie — umysł przytomniał.

Dlaczego ją zabił? Przecie była dla niego wszystkim co ukochał na ziemi — jego szczęściem — życiem — nadzieją.

Tak! — lecz go zdradziła — podle podeszła.

Nędzna, nędzna — bezwstydna.

O! on ją tak kochał — tak bardzo kochał — a tak jej wierzył, że raczej śmierci niż tego się spodziewał.

Wczoraj jeszcze śmiała się do niego, jak niewinne dziecko — trzymała głowę jego na kolanach i cisnąc namiętnie usta do ust, szeptała słodkie zaklęcia.

Kobiety! kobiety!

Rozpaczliwie chwycił się za głowę.

Przeszłość opuściła grób swój i jak żywa stanęła przed jego okiem.

Ujrzał ją po raz pierwszy w maju.

Jasno było — wesoło — życie rodziło się w całej przyrodzie, bujnym kwieciami kryjąc łąki i ogrody.

Ptaki śpiewały hymny miłości.

I w jego piersi zbudziła się wiosna — rzuciła wokoło tęcze smugi — rozwinęła przepych niezmierny i tęsknotą napełniła duszę.

Ujrzał ją i wraz pokochał.

A później?

Chodzili razem po polach i lasach, rojąc marzenia przyszłości.

W jej sercu zadrgało także życie — uwierzył i poddał się — ślub ich połączył.

Dwa lata spłynęły falą rozkoszy — omanień — trzeci krwawą wycisnął pieczęć i zamknął księgę szczęścia na wieki.

Jak to się stało? Jakim sposobem zbudziła się w nim taka wściekłość?

Ha! ha, ha, — zaśmiał się dziko.

Pamięta dobrze — widzi jeszcze teraz.

Pół godziny stał pod dzwiami i słuchał.

Myślała, że wyjechał, — podeszedł ją — ostrzeżony chciał sam być sędzią — chciał zastać ich w czułym uścisku — i zastał.

Słuchał — słuchał — a dusza wyła w nim z bólu. Nędzna — kpiła sobie z niego — słyszał jej śmiech srebrzysty i jego — bawili się jego kosztem — słyszał ich całusy — a potem ten trzask — ten łoskot przeklęty.

Wpadł — stanęli jak wryci — ona zaczęła okrywać obnażone piersi — a on?

Ha! ha! ha! tchórz — uciekł — ale on go nie gonił tylko ją chwycił za gardło i począł dusić — padła broniąc się na kółko.

Co dalej nie pamięta — krew go zamroczyła — zwierzył się z klatki i zagryzł — zagryzł na śmierć.

Lampa poczęła zwolna gasnąć — mdłe światło padało na stół zastawiony obfitą wieczerzą.

Spojrzał na nią.

Leżała cicho — blada — tylko rozwarłe jej oczy patrzyły na niego z niezmiernym bolem — jakaś beznadziejna głębia z nich wyzierała — coś niezwykłego — coś wprost przerażającego.

Odwrócił się — daremnie — wzrok ten wpił mu się już w krew — nie patrząc — widział go.

Lampa zgasała — ciemność wypełzła z kątów i objęła pokój — ale oczy zabitej wciąż patrzyły — widział je teraz wszędzie — patrzyły na niego zewsząd — kędy się tylko obrócił.

Jakaś potworna zmora poczęła go dusić — a z niej wyłaniał się coraz większy niepokój i lęk.

Chciał powstać — nie mógł — nogi wrosły mu w ziemię.

Wokoło słyszał jakieś szmery — jakieś ciche głosy — jakieś jęki.

Zdawało mu się, że ktoś chodzi po pokoju — teraz zbliża się do niego — dotyka jego twarzy...

Ach! co za zimna ręka — jak wąż śliska i wilgotna.

Krzyknął przeraźliwie — zerwał się i jak szalony wybiegł z pokoju — a za nim goniły mary — ohydne — straszne — krwią zbryzgane.

KRONIKA.

Zmuszeni jesteśmy publicznie oświadczyć, że p. **Stanisław Dubicki**, exfunkcyjaryusz c. k. Namiestnictwa, noszący urzędniczą bluzkę z trzema gwiazdami, wzrostu niskiego, podsadkowaty, utyły, o okularach — nigdy nie był i nie jest ani współwłaścicielem, ani współredaktorem „**Reformatora**” — a tem bardziej jego zwolennikiem.

Ostrzegamy przeto naszych zwolenników i czytelników przed tym panem.

Redakoya.

„**Latający Holender**” w ratuszu! Pod takim tytułem wydaliśmy w środę nadzwyczajny dodatek do „**Reformatora**”. Aby dać możność wszystkim naszym czytelnikom do zapoznania się z treścią tego dodatku, przeto w niniejszym numerze przedrukujemy go w całości. W uzupełnieniu tegoż zaznaczamy, że komisya lustracyjna swe sprawozdanie jako »własność prywatna« już wydrukowała w 49 arkuszach i to na koszt kasy miejskiej bez przyznania na to kredytu ze strony Rady lub sekcji. Dotychczas kasa ma już do wypłacenia za to »pomnikowe dzieło« 3 tysiące koron. O wiele nas zapewniano, to jeszcze drukarnia posiada manuskryptu na 36 arkuszy druku!

Za bank „Pii montis”. Ks. Mardyrosiewicz, zasądzony za defraudację w ormiańskim banku, został po odbyciu kary 1½ rocznego więzienia wypuszczony w poniedziałek w nocy na wolność i zajął wprost do hotelu „**Metropole**”, radnego p. Krzysztofa Janowicza. Widocznie będzie ratował jego kawiarnię, bo ta z każdym dniem opróżnia się, gdyż goście, by uniknąć widoku oblicza »posła« Breitera, przenoszą się do innych kawiarni.

Dla tumanienia chłopów powiatu lwowskiego »poseł« Ernest Breiter wydaje »gazetkę« p. t. »**Prawda i prawo**«, którą — jak się sam chwali — rozsyła daremnie. Ponieważ dość często w tej »gazetce« pojawiają się notatki kronikarskie, podające do wiadomości czytelników, gdzie urodziły się »dwojaczki i trojaczki«, a w ostatnich czasach »szanowny poseł i redaktor« zapomniatł podać fakt, jaki zdarzył się w Brzezince, przeto takowy przypominamy »naszemu kochanemu posłowi« i tak:

»**Trojaczki urodzone na raty.** W Brzezince pod Rudawą urodziła dnia 3. lutego Maryanna Farynowa troje dzieci, dwóch chłopaków i jedną dziewczynkę i to tak: o 7mej wieczór przyszła na świat dziewczynka, na drugi dzień o 4tej rano jeden chłopak i znowu na drugi dzień o 5tej rano drugi chłopak. Tak powoli na raty urodziła matka troje dzieci. Wszystkie ochrzczono w kościele w Rudawie».

Szkoda tylko, że fakt ten nie wydarzył się w powiecie lwowskim, bo zastęp wyborców »posła« Breitera powiększyłby się aż o dwa głosy!

Kastor i Pollux czyli Breiter i Zandler. Feliś z Ernestem! i któż bardziej kochał się, kto z kim lepiej się rozumiał nawzajem, kto kogo odczuwał delikatniej w najgłębszych tajnikach szlachetnych porwów duszy?... jak Feliś i Ernest!

Kogo łączyły serdeczniejsze stosunki, kto komu podpisywał nawzajem bez ograniczenia przeróżne świstki, zwane w potocznym

życiu weksłami, kto się nawzajem odwiedzał tak często, jak Feliś i Ernest?

Kogo widziano zawsze i wszędzie razem, kto był duszą »**Monitora**« i podniosłych tendencji tego pisma, kto kogo przewyższał w wynajdywaniu wszelkiego rodzaju szelmostw i łajdactw, jak Feliś i Ernest?

Kto trzymał do chrztu dzieci Felisia?... Ernest!

Kto się obopólnie popierał przy kandydowaniu na posła do Rady państwa?... Feliś i Ernest!

Wtem pękła bomba!

Ernestowi powinęła się nóżka i pan prokurator zajął się jego osobą, bo był, jest i będzie głupcem, zarozumiałym i ufnym w swój mandat.

Felisiowi także się coś powinęło, ale był mędrszym od swego przyjaciela i dał nogom znać zawczasu, nie czekając na zaproszenie p. Heyderera.

Fatum rozdzieliło te dwie szlachetne dusze i rozbiegły się ich drogi... ale i na drugiej półkuli wyłapywała już nasza policja przymusowych emigrantów i odprowadzała ich do ula.

Miejmy więc nadzieję, że z ukończeniem procesów Ernesta pojawi się i Feliś wbrew własnej woli na lwowskim gruncie i że rozbiegłe te dwie, tęskniące za sobą dusze... zjedzą się na dłuższy, wzajemny pobyt... w ulu.

Chorzy buntują się. W artykułach naszych p. t. »Czy może być co gorszego« podnieśliśmy także o lichem odżywianiu chorych i smutnych stosunkach w przemyskim szpitalu.

Obecnie dowiadujemy się, że na jednym z oddziałów tegoż szpitalu, przed kilku dniami przyszło do strasznej awantury pomiędzy służbą szpitalną i zakonnicami a chorymi. Połamano sprzęty, okna i drzwi i dopiero przywołanej policji udało się z bronią w rękę przywrócić spokój. Jedna z zakonnic została dość ciężko ranioną w głowę. Kilka chorych dziewcząt z oddziału chorób skórnych, przyaresztowała policja i odstawia do aresztów policyjnych. Co było powodem tych zająć, trudno dziś zbadać, ponieważ jednak dość często słyszy się żale i skargi na niewłaściwe postępowanie zakonnic z chorymi i niemożliwe odżywianie chorych, przeto byłoby wskazaniem, by specjalnie wysłany delegat Wydziału krajowego zbadał stosunki, panujące w przemyskim szpitalu. Powszechnie wiadomo, że dr. Stella-Sawicki przy wizytacji szpitali galicyjskich z ramienia Wydziału krajowego, przekonał się o strasznych stosunkach w tych szpitalach, gdzie administrację prowadzą zakonnice, co nawet podniósł w swoim sprawozdaniu.

Czyż nie mieliśmy rację, zwracając jeszcze przed kilku tygodniami uwagę władz przełożonych na tak smutne stosunki, jak w przemyskim szpitalu?

Słuchajcie włóścianie jak postępuje Breiter! W powiecie lwowskim znachodzi się Piotr Wiśniewski, właściciel gospodarstwa w szczyrceckim obwodzie, który duszą i ciałem był oddany w czasie wyborów »redaktorowi« Breiterowi. On też głównie przyczynił się, że »pan« Breiter osiągnął tak dawno upragniony mandat poselski, gdyż swemi mowami wpłynął na gospodarzy aby ci wybrali Breitera, za co »pan poseł« obcałował go od stóp do głowy i to wobec drugich osób. Po wyborach, gdy Wiśniewski był już niepotrzebny »panu posłowi« — jak to z każdym Breiter uczynił — skrzyw-



Główna sprzedaż

pojedynczych numerów „REFORMATORA“

w biurze dzienników

A. OLSZEWSKIEGO

Lwów, ul. Kilińskiego 1. 2.

dził go, a że obecnie Wiśniewski upominał się o swoją krzywdę, »pan poseł« w swej »szmatetce«, co się mieni być »Prawdą i Prawem«, wziął do »młyna« i Wiśniewskiego, nazywając go »lichotą« i innymi monitorowskimi wyrazami. Z obawy jednak by Wiśniewski nie opublikował postępowanie »cielenci« Breitera wobec niego, »pan poseł« wysłał do Wiśniewskiego swego »fagasa« Stanisława Dubickiego, który w imieniu Breitera ofiarował mu całkiem nowy »anżug« z »pana posła«, wiszący w szafie, lub też 30 złr., aby tylko przeprosił się z »panem posem«. Naturalnie, że Wiśniewski, jako honorowy gospodarz, propozycję tę z pogardą odrzucił.

Brawo »panie posle« i niemiecka kanaliol! Z tego już można wyrobić sobie zdanie o twoim łajdackim »honorze«, godnym tylko zwykłego Malborczyka!

Zresztą do tej sprawy powrócimy, a wy włóścianie macie małą próbkę jak postępuje wasz »poseł« Breiter i do czego służy jego »gazetka«, nazywająca się »Prawda i Prawo«.

Tak jest. Rada powiatowa w Bóbrce, już od kilku lat obchodzi się bez swych członków z kuryi wiejskiej. Z kuryi tej wybrano 12 członków, ale ci ani razu nie byli na posiedzeniu, bo ich ani razu nie zaproszono i Rada powiatowa radzi bez chłopów, a Bóbrka leży tak blisko Lwowa i Wydziału krajowego!

P. sekretarz Podhorski. Jak marek po piekle, tłucze się w czasie koncertów, po całym obejściu Filharmonii, rzutny i »nadmierę energiczny« p. Henryk Podhorski, prawa ręka p. Hellera, kontrolor, kasyer, sekretarz... istne factotum przedsiębiorstwa tej instytucji. I niktyby nie miał nic do zarzucenia tej służbistości pana »sekreterza«, gdyby w nadmiarze poczucia swych obowiązków nie wchodził zbyt często w kolizję z uczęszczającą na koncerta publicznością i gburowatem, prawie wyzywającym swem postępowaniem nie dawał powodu do niemiłych zająć na każdym kroku.

Nie ruszaliśmy tego gromowładnego pana mimo licznie dochodzących nas skarg na jego, prostackie zachowanie się, ale po awanturze, jaką urządził w sobotę dnia 21. lutego w czasie maskarady, zapytujemy dyrekcję Filharmonii, czy w program jej produkcji wchodzi także bicie po twarzy bileterów przez p. Podhorskiego przy akompaniamencie rdzen nie russkich epitetów, których tutaj nie możemy powtórzyć ze względu na przyzwoitość, a które musiała słuchać licznie w westybulu pierwszego piętra zgromadzona publiczność, złożona przeważnie z pań, zatykających uszy i uciekających na wszystkie strony przed powodzią wstrętnych i moralność obrażających wybryków tego russkiego stupajki.

Prawdziwą przysługę wyrządziłby p. Heller publiczności i sobie, gdyby tego gburowatego jegomościa, nadmucharanego jak pęcherz, chował gdzieś w ukryciu w czasie koncertów Filharmonii i nie pokazywał go światu.

Unio catholica. Thumen, dyrektor filii tow. ubezp. »Unio catholica«, przyjaciel i wyborczy agitator Ernesta Breitera, został zasądzony na 5 miesięcy ciężkiego więzienia. Nie pomógł mu nawet swemi interpelacjami tak »energiczny« przyjaciel, jak »poseł« Breiter. Widzimy, że »pan poseł« gromadzi koło siebie ładne towarzystwo w osobach

Felisia, Thumena i wielu innych »porządnych« obywateli.

Szczęśliwy Stanisławów! Krajowa Rada szkolna obeszła się po macoszemu z stolicą kraju, przenosząc p. Tomasza Markowskiego, na posadę nauczyciela seminarium w Stanisławowie. Bo czym był dla Lwowa p. Tomasz Markowski? *Wzorowym* nauczycielem szkół ludowych, dyplomowanym weterynarzem, delegowanym do oglądania nierogaczyny na jarmarkach w Winnikach, niedyplomowanym doktorem medycyny, na którą uczęszczał lat cztery, dyplomowanym artystą gry w domino w kawiarni »Metropole«, zaufanym informatorem »Monitora«, przyjacielem od serca Ernesta Breitera, usłużnym reporterem Rady szkolnej okręgowej we Lwowie, tajnym..... mężem zaufania pana wiceprezydenta Michalskiego i t. p.

I męża tak wszechstronnych zawodów zabrano nam ze Lwowa... **Szczęśliwy Stanisławów!** cieszcie się panowie nauczyciele, cieszcie się wy wszyscy, którzy zażywaliście dotychczas miłego spokoju. P. Tomasz Markowski rozbudzi między wami nowe życie i nie da wam pleśnieć w gnuśności. **Szczęśliwy Stanisławów!**

Raport Nr. II. Do wiadomości »posła« Ernesta Breitera i tow.:

»Psa sprawa«. Magistrat ogłasza, że dla stłumienia niewygasającej we Lwowie zarazy wścieklizny psów ponawia i utrzymuje w mocy i nadal następujące środki ochronne:

1) Wszystkie psy mają być uwiązane i trzymane na łańcuchu albo muszą być prowadzone na linewce, względnie nosić bezpieczne kagańce. 2) Psy z natury złośliwe mają być stale uwiązane na łańcuchu. 3) Psy wolno biegające bez kagańców będą łowione i natychmiast zabijane. 4) Właściciele psów, skoro tylko spostrzegą u psa oznaki, które wścieklizny obawiać się każą, obowiązani są odesłać natychmiast do rakarni miejskiej. 5) Zakaz bezwarunkowy wprowadzania psów do publicznych lokali pozostaje nadal w mocy. Niestosowanie się do tych przepisów będzie surowo karane w drodze administracyjnej lub sądowo karnej. Prośby o uwolnienie już złowionych psów, samopas biegających, nie będą pod żadnym warunkiem uwzględnione.

Co do końcowego ustępu z naszej strony zauważyć musimy, że celem wydania złowionego psa można udawać się o protekcję do »pana posła« Breitera, przy ul. Wałowej l. 2. III. p.

Piękny cel. Towarzystwo narodowyzydowskierobotników i handlowców »Achwah« założyło w swem łonie bezpłatne biuro pracy, które z dniem 20. lutego b. r. zostało otwarte. Z pośrednictwa tego biura korzystają mogą tak członkowie, jak i nieczłonkowie towarzystwa. Biuro otwarte codziennie od 12 do 1/2 2 i od 7 do 9 wieczór, a znajduje się w Rynku l. 12.

»Satyr«. Pod takim tytułem począł we Lwowie wychodzić dwutygodnik satyryczno-społeczny, którego program streszcza się w jednej dewizie: prawda. Redakcją kieruje p. Stanisław Brandowski, znany szerszej publiczności z swego, jak to mówią... ciętego pióra. Pierwszy numer jest nader interesujący a premium kwartalną wynosi 2 kor.

Księga adresowa m. Lwowa (rocznik 7), wydawana przez p. Franciszka Reichmana,

pojawiała się już z druku znacznie rozszerzona i ulepszona. Jest to podręcznik adresowy, oddający usługi nie tylko mieszkańcom m. Lwowa i kraju, lecz wszystkim, mającym stosunki z Galicyą. Obecny rocznik wydawca wzbogacił działem, ważnym dla świata handlowego, a to adresami właścicieli dóbr i dzierżawców, zamieszkałych stale w swych majątkach. Cena egzemplarza 5 kor.

Zwracamy uwagę szanownych czytelników na ogłoszenie firmy Aleksandra Sahluba.

Odpowiedzi redakcyi.

M. B. Kałusz. Prosimy o rzeczy większej wartości.

Panu S. Z przysłanego materiału skorzystamy i zdemaskujemy »pana posła«, ale do piero w stosownej chwili.

M. w Podadkach. Wszystko będzie dobrze, trzymajcie się tam, jak jeden mąż.

J. Ś. Zapóźno. Na drugi numer.

K. Sprawę wekslową Zandlera w Banku hipot. zbadamy i wyjaśnimy.

NADESŁANE.

Za tę rubrykę Redakcja nie bierze odpowiedzialności.

Najstarsza restauracya

Piotra Kijaka

Łwów, ul. Łyczakowska l. 149

wzorowo urządzona, poleca znakomite domowe potrawy, wyborne piwo i inne trunki.

ROCZNIK SIÓDMY

1903

Księga adresowa miasta Łwowa

do nabycia u wydawcy

F. REICHMANA, Łwów, ul. Grottgera 3.

Cena 5 koron.

Dr. Maurycy Kahane

adwokat krajowy

mieszka

ulica Kollataja liczbą 3.

BAZYLI GRESIAK

krawiec męski

mieszka

Łwów, Rynek l. 3.

Kancelarya adwokata krajowego

Dra Henryka Gabla

znajduje się

we Lwowie przy ulicy Sykstuskiej liczbą 36.

D. POPIEL

magister farmacyi

Łwów, ul. Zamarstynowska l. 34.

Droguerya
= i perfumerya

Główny skład materyłów i przetworów aptecznych, skład farb, olejów, pokostów i lakierów, przyrządów chirurgicznych i gumowe prezerwatywy francuskie poleca

Na okład! Bez zwrotu!

Humulin

jest jedynym środkiem
przeciw wypadaniu włosów.

Za skutek ręczę!

Listy dziękczynne do
przeglądnięcia.

Cena flaszki 1 K 50 h.

Do nabycia jedynie w drogueryi
- - pod „Opatrznością Boską“ - -

Szczęsnego Traunfellnera

we Lwowie, Rynek I. 10.

z egzaminem rachunkowym poszukuje
zajęcia biurowego. Może złożyć kaucję
w kwocie 400 kor. Zgłoszenia w administracji „Reformatora“.

Zdzisław Grzywiński

ul. Kalicka I. 8
poleca

przybory do pisanja i rysowania.

Wielki wybór obrazów i kart z widokami.

Perfumerya, mydła wszelkiego rodzaju.



Pierwsza galicyjska Miodosytia

Samuela Błatta

w Janowie

założona w roku 1850 — poleca

czerwone i białe miody różnego gatunku.

Stary miód butelkowy a la malaga. — Czysty воск
pszczelny najlepszego gatunku.

Wyrań mięsa

Kazimierza Frankowskiego

znajduje się

w Rynku I. 41.

Włodzimierz Szczerba

Lwów, ul. Teatralna I. 7.

PIERWSZORZĘDNY MAGAZYN

oraz

Pracownia sukien męskich.

Na składzie materye z pierwszorzędných fabryk wyłącznie
angielskich i francuskich.

Pierwszorządny **Magazyn** znany **Obuwia**

pod firmą:

ALEKSANDER SALAHUB

Lwów, Ormiańska I. 16
poleca

Eleganckie obuwie

damskie, męskie i dziecinne własnego wyrobu, podług
najnowszych fasonów.

Poleca się

RESTAURACYE

MICHAŁA ILKOWA

przy ul. Sobieskiego I. 1

znaną z smacznych potraw i skrzetnej usługi.

Wszelkie ubrania - - -
męskie i dziecinne
wedle najnowszych faso-
nów z najlepszych ma-
teryi - - - - -

poleca

jedyna największa firma

Heilman Kohn i Synowie

Lwów, plac Maryacki I. 5.
(HOTEL FRANCUSKI).

A. Voise

poleca w swej

przy ul. Żółkiewskiej
I. 65

RESTAURACYI

znane powszechnie smaczne potrawy i wyborne trunki.

